

The background of the cover is a photograph of a person in a dark jacket and pants walking away from the viewer down a paved road that curves to the left. The road is flanked by tall, thin trees, and the scene is shrouded in a thick, pale fog or mist. The overall color palette is dominated by cool blues and greys, with a strong contrast provided by the bright orange text.

JACK REACHER

LEE CHILD

ZGODNIE Z PLANEM

ALBATROS

JACK REACHER

Imię i nazwisko: Jack Reacher

Narodowość: amerykańska

Urodzony: 29 października 1960 roku w Berlinie

Charakterystyczne dane: 195 cm, 99–110 kg, 127 cm w klatce piersiowej

Kolor włosów: ciemny blond

Kolor oczu: niebieski

Ubranie: kurtka 3XLT, długość nogawki mierzona od kroku 95 cm

Wykształcenie: szkoły na terenie amerykańskich baz wojskowych w Europie i na Dalekim Wschodzie, Akademia Wojskowa West Point

Przebieg służby: 13 lat w Żandarmerii Armii USA, w 1990 roku zdegradowany ze stopnia majora do kapitana, zwolniony do cywila w randze majora w roku 1997

Odnaczenia służbowe: Srebrna Gwiazda, Medal za Wzorową Służbę, Medal Żołnierza, Legia Zasługi, Brązowa Gwiazda, Purpurowe Serce

Ostatni adres: nieznany

Czego nie ma: prawa jazdy, dokumentu ze zdjęciem, osób na utrzymaniu

1

Na mapie miasto robiło wrażenie małego. Było ot, niewielką, anemiczną plamką przy czerwonej drodze przecinającej półtoracentymetrowy skrawek pustego papieru. Ale na ziemi i z bliska liczyło pół miliona mieszkańców. Zajmowało prawie dwieście sześćdziesiąt kilometrów kwadratowych powierzchni. Miało sto pięćdziesiąt tysięcy gospodarstw domowych i ponad osiem kilometrów kwadratowych terenów zielonych. Wydawało pół miliarda dolarów rocznie i prawie tyle samo zarabiało w postaci podatków, opłat i innych obciążeń finansowych. Było na tyle duże, że miało tysiąc dwustu funkcjonariuszy policji.

I na tyle duże, że działające tu grupy przestępcze mogły podzielić się nim po połowie. Zachodnią część miasta kontrolowali Ukraińcy. Wschodnią – Albańczycy. Linie demarkacyjną między ich terytoriami wytyczono bardzo skrupulatnie, niczym nieco zmanipulowane granice okręgu wyborczego. Teoretycznie biegła wzdłuż Center Street, z północy na południe, dzieląc miasto na pół, lecz w rzeczywistości tu i ówdzie odbijała, zygzakowała i meandrowała, aby ze względu na precedensy historyczne

włączyć lub wyłączyć z kontrolowanego obszaru dany kwartał czy okolicę. Negocjacje były nerwowe. Nie obeszło się bez kilku małych wojen terytorialnych. Nie obyło bez nieprzyjemności. Ale w końcu osiągnięto porozumienie. Wydawało się, że skuteczne, bo jedni przestali wchodzić w drogę drugim. Od długiego czasu nie utrzymywali ze sobą żadnych kontaktów.

Aż do pewnego majowego poranka. Ukraiński boss zaparkował na Center Street i ruszył na wschód, w stronę terytorium Albańczyków. Sam. Wysoki, hardy i krzepki, miał pięćdziesiąt lat i wyglądał jak spiżowy pomnik dawnego bohatera. Kazał zwracać się do siebie „Gregory”, bo w amerykańszczyźnie imię to było najbardziej zbliżone do tego, które mu nadano. Przyjechał nieuzbrojony i żeby to udowodnić, włożył obcisłe spodnie i obcisły podkoszulek. Nie miał nic w kieszeniach. Niczego nie ukrywał. Skręcał to w lewo, to w prawo, coraz bardziej naruszając wrogi teren i zmierzając w kierunku składu drewna, na którego zapleczu mieściła się kwatera główna Albańczyków.

Cały czas go śledzono, od chwili, kiedy przekroczył linię demarkacyjną. Ostrzeżono telefonicznie kogo trzeba, więc gdy dotarł na miejsce, czekało na niego sześciu milczących mężczyzn. Stali półkręgiem między chodnikiem i bramą składu, jak pionki szachowe w formacji obronnej. Gregory przystanął, lekko odchylił ręce od tułowia i obrócił się powoli o pełne trzysta sześćdziesiąt stopni. Obcisłe spodnie i obcisły podkoszulek. Żadnych wybrzuszeń czy wypukłości, ani noża, ani pistoletu. Zupełnie nieuzbrojony stał naprzeciwko zdecydowanej uzbrojonej szóstki. Co go jednak nie martwiło. Niesprowokowani, Albańczycy nigdy by go nie zaatakowali. Dobrze o tym wiedział. Tak nakazywała grzeczność. Maniery to maniery.

Jeden z nich zrobił krok do przodu. Częściowo po to, żeby go zablokować, częściowo po to, żeby go wysłuchać.

– Muszę porozmawiać z Dinem – zaczął Gregory. Dino był bossem gangu Albańczyków.

– Po co? – spytał mężczyzna.

– Mam dla niego wiadomość.

– Jaką?

– Taką, jaką powinien dostać.

– Mogę dać ci jego numer.

– O takich rzeczach rozmawia się twarzą w twarz.

– Musisz przekazać mu ją akurat teraz?

– Tak, teraz.

Mężczyzna odwrócił się i zniknął za drzwiami wbudowanymi w zwijaną bramę. Pięciu pozostałych zwarło szyk, żeby wypełnić lukę. Gregory czekał. Tamci obserwowali go, po trosze nieufnie, po trosze z fascynacją. Oto wyjątkowa okazja. Niepowtarzalna, jedyna w życiu. Szef wrogiego gangu na wyciągnięcie ręki. To jak zobaczyć jednorożca. Poprzednie negocjacje prowadzono na neutralnym terenie, na polu golfowym za miastem, po drugiej stronie autostrady.

Gregory czekał. Tamten wrócił po pięciu długich minutach, tą samą drogą. Drzwi zostawił otwarte. Dał znak i Ukraińiec wszedł do środka. Poczul zapach świeżej sośniny i usłyszał jęk pily.

– Musimy sprawdzić, czy nie masz podsłuchu – powiedział Albańczyk.

Ukraińiec kiwnął głową i zdjął podkoszulek. Tułów miał twardy, zbity i gęsto porośnięty włosami. Nie miał podsłuchu. Kiedy Albańczyk sprawdził szwy podkoszulka, Gregory włożył go i przeczesał ręką włosy.

– Tędy – rzucił mężczyzna.

Poprowadził go w głąb zardzewiałego baraku. Pozostałych pięciu ruszyło za nimi. Doszli do zwykłych metalowych drzwi. Za drzwiami było ślepe pomieszczenie urządzone jak sala konferencyjna. Stały tam cztery laminowane stoły, jeden na styk z drugim, jak bariera. Za stołem na środku siedział w fotelu Dino. Młodszy od Gregory'ego o parę lat i o kilka centymetrów niższy, lecz szerszy w ramionach. Miał ciemne włosy i bliznę od noża na lewej połowie twarzy, węższą nad brwiami i szerszą na policzku, jak odwrócony wykrzyknik.

Albańczyk, który przyprowadził Gregory'ego, postawił krzesło naprzeciwko Dina, po czym obszedł stoły i jak na posłusznego adiutanta przystało, usiadł po prawicy szefa. Pozostałych pięciu rozdzieliło się: trzech zajęło miejsce po jego prawej, a dwóch po lewej stronie bossa. Gregory siedział po drugiej stronie stołu, sam jak palec, naprzeciwko siedmiu kamiennych twarzy. Długo nikt się nie odzywał. W końcu Dino spytał:

– Czemu zawdzięczam tę przyjemność?

Maniery to maniery.

– Nasza policja będzie miała nowego komendanta – powiedział Gregory.

– Tak, wiemy – odrzekł Dino.

– Z wewnętrznego awansu.

– Tak, wiemy.

– Zapowiedział, że się z nami rozprawi, z nami i z wami.

– Tak, wiemy – powtórzył po raz trzeci Albańczyk.

– Mamy wtyczkę w jego biurze.

Dino umilkł. Tego nie wiedział.

– Nasz człowiek znalazł tajny plik na twardym dysku zewnętrznym w jego szufladzie – ciągnął Gregory.

– Jaki plik?

– Z planem wymierzonej w nas operacji.

– Czyli?
– Plan jest bardzo ogólny. Pozbawiony szczegółów. Ale tylko na razie, bo z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień szczegółów przybywa. A przybywa dlatego, że do komendanta ciągle napływa strumień nowych informacji.

– Skąd napływa?
– Nasz człowiek szukał długo i dokładnie i w końcu znalazł inny plik.

– Jaki?

– Listę.

– Czego?

– Najbardziej zaufanych policyjnych informatorów.

– No i?

– Są na niej cztery nazwiska.

– Jakie?

– Dwaj z nich to moi ludzie – odparł Gregory.

Zapadła cisza. Którą przerwał Dino.

– Co z nimi zrobiłeś?

– Na pewno się domyślasz.

Znów zapadła cisza.

– Dlaczego mi to mówisz? – spytał Albańczyk. – Co to ma wspólnego ze mną?

– Dwaj pozostali są od ciebie.

Umilkli.

– Mamy kłopot, ty i ja – podsumował Gregory.

– Ci moi... którzy to?

Gregory podał mu nazwiska.

– Dlaczego ich sypiesz? – spytał Dino.

– Bo mamy układ. Zawsze dotrzynamy słowa.

– Bardzo skorzystałbyś na moim upadku – zauważył Albańczyk. – Kontrolowałbyś całe miasto.

– Skorzystałbym tylko na papierze. Nagle zdałem sobie

sprawę, że zadowala mnie obecne *status quo*. Bo gdzie znalazłbym tylu uczciwych ludzi, którzy zajęliby miejsce twoich? Jak widać, już teraz mam ich za mało.

– Ja chyba też – przyznał Dino.

– Dlatego bić się będziemy jutro. Dzisiaj uszanujmy nasze zobowiązania. Przykro mi, że przynoszę tak upokarzające wieści. Ale ja też się upokorzyłem. Przed tobą. Mam nadzieję, że to się liczy. Łączy nas wspólny kłopot.

Dino bez słowa kiwnął głową.

– Mam pytanie – dodał Gregory.

– Więc pytaj.

– Gdybyś to ty miał wtyczkę w policji, powiedziałbyś mi, jak ja powiedziałem tobie?

Albańczyk długo milczał. W końcu odparł:

– Tak, z tego samego powodu. Mamy układ. I jeśli na liście są nazwiska twoich i moich ludzi, nie powinniśmy się spieszyć i podejmować głupich decyzji.

Gregory skinął głową i wstał.

Adiutant Dina też, żeby odprowadzić go do wyjścia.

– A więc z twojej strony nic już nam nie grozi? – upewnił się Gregory.

– Do wieczora nie będzie. Mamy swojego człowieka w zgniatalni na złomowisku. On też jest nam coś winien.

Długi, mroczny barak, drzwi w zwijanej bramie i Gregory wyszedł wreszcie na jasne majowe słońce.

• • •

W tej samej chwili Jack Reacher był sto dwanaście kilometrów dalej, w jadącym międzystanówką autobusie. Siedział po lewej stronie, przy oknie nad tylnym kołem. Miejsce obok było puste, choć autobusem podróżowało dwudziestu dziewięciu pasażerów. Zwykła mieszanina.

Nic specjalnego, jeśli nie liczyć sytuacji, która go lekko zainteresowała. Po drugiej stronie przejścia, rząd przed nim, spał mężczyzna ze zwieszoną głową. Około siedemdziesiątki, miał dawno niestrzyżone siwe włosy i obwisłą szarą skórę, jakby bardzo schudł. Był w krótkiej, niebieskiej kurtce z suwakiem. Z ciężkiej bawełny, może wodoodpornej. Z jego tylnej kieszeni wystawał węższy brzeg pękatej koperty.

Reacher znał takie koperty. Już je widywał. Czasem, kiedy bankomat nawalał, wchodził do banku i brał gotówkę na kartę, prosto z okienka. Kasjer pytał go ile, a on myślał: Cóż, skoro bankomat nie działa, może lepiej wziąć trochę na zapas, na wszelki wypadek, po czym prosił o dwa, a nawet trzy razy więcej niż zwykle. O dużą kwotę. Kasjer pytał go wtedy, czy chce kopertę, a Reacher czasem odpowiadał: tak, poproszę, zupełnie bez powodu, i po chwili dostawał taką samą jak ta, która sterczała teraz z kieszeni śpiącego mężczyzny. Dokładnie tego samego rozmiaru, o dokładnie takich samych proporcjach, z papieru tej samej grubości, równie grubą i ciężką. Kilkaset lub kilka tysięcy dolarów, zależnie od nominalów.

Nie tylko on ją zauważył. Dostrzegł ją także facet siedzący tuż przed nim. Na sto procent. Bardzo się nią zainteresował. Cały czas zerkał na drugą stronę przejścia, w prawo i w dół, w prawo i w dół, i tak na okrągło. Młody i szczupły, miał tłuste włosy i kozią bródkę. Dwudziestokilkulatek w dżinsowej kurtce. Prawie dzieciak. Zerkał, myślał i planował. Oblizywał usta.

Autobus pędził przed siebie. Reacher to wyglądał przez okno, to obserwował kopertę i obserwującego ją współpasażera.

• • •

Gregory wyjechał z parkingu przy Center Street i wrócił na swoje terytorium. Jego kwatera mieściła się na zapleczu firmy taksówkowej, naprzeciwko lombardu i biura poręczyciela, przybytków, których był właścicielem. Zaparkował i wszedł do środka. Przyboczni już czekali. Czterej, jeden podobny do drugiego, i do niego. Niespokrewnieni w sensie rodzinnym, lecz pochodzący z tych samych miast, wsi i więzień w starym kraju, co było chyba jeszcze lepsze.

Patrzyli na niego. Cztery twarze, cztery pary szeroko otwartych oczu, w których czało się tylko jedno pytanie.

Na które odpowiedział.

– Pełny sukces. Dino wszystko kupił. Głupi osioł. Mogłbym mu sprzedać most Brookliński. Tych dwóch, których nazwiska mu podałem, już nie żyje. Przetasowanie zajmie mu parę dni. Mamy jakieś dwadzieścia cztery godziny. Przyjaciele, okazja puka do drzwi. Ich skrzydło jest szeroko otwarte.

– Cali Albańczycy – mruknął siedzący po jego prawicy.
– Gdzie wysłałeś naszych?
– Na Bahamy. Pewien gość z kasyna jest nam winny pieniądze. Ma ładny hotel.

• • •

Zielone znaki na poboczu drogi mówiły, że zbliżają się do miasta. Pierwszy przystanek dnia. Reacher patrzył, jak mężczyzna z kozią bródką układa plan. W którym były dwie niewiadome. Czy ten z pieniędzmi zamierza tu wysiąść? A jeśli nie, to czy mimo to się obudzi, kiedy autobus będzie zwalniał, skręcał i szarpał?

Reacher czekał. Autobus zjechał z autostrady i stanową czteropasmówką popędził na południe, przez równinę wilgotną od niedawnego deszczu. Jechał gładko. Z sykiem

opon. Mężczyzna z kopertą wciąż spał. A Kozia Bródka wciąż go obserwował. Reacher doszedł do wniosku, że gość ma już plan. Zastanawiał się tylko, czy dobry. Najmądrzej by było zwędzić kopertę już teraz, dobrze ją schować i wysiąść, kiedy tylko autobus się zatrzyma. Bo nawet jeśli ten starszy obudzi się przed przystankiem, będzie początkowo zdezorientowany. Może nawet nie zauważy, że koperta zniknęła. A jeśli zauważy, to nie od razu. Kiedy w końcu stwierdzi, że zniknęła, też nie wyciągnie pochopnych wniosków. Dlaczego miałby wyciągać? Nie, najpierw pomyśli, że wypadła mu z kieszeni. Przez chwilę będzie szukał na siedzeniu, na podłodze i pod fotelem pasażera siedzącego przed nim, bo może podczas drzemki niechcący kopnął ją i przesunął. Dopiero potem zacznie się pytająco rozglądać. Ale autobus będzie już wtedy stał, ludzie będą wstawali, wysiadali i wsiadali. W przejściu powstanie korek i ten z bródką bez trudu się wymknie. Tak by było najmądrzej.

Tylko czy Kozia Bródka o tym wiedział?

Reacher nie zdążył się przekonać.

Mężczyzna z kopertą obudził się za wcześnie.

Kiedy autobus zwolnił i z sykiem hamulców zatrzymał się na czerwonym świetle, starszy pan gwałtownie podniósł głowę, zamrugał, poklepał się po kieszeni i wcisnął kopertę głębiej, tak że przestała być widoczna.

Reacher odprężył się i usiadł wygodniej.

Kozia Bródka też.

Autobus ruszył. Po obu stronach drogi ciągnęły się pola oprószone wiosenną zielenią. Potem pojawiły się pierwsze obiekty handlowe, olbrzymie działki pełne sprzętu rolniczego i samochodów, setek błyszczących maszyn ustawionych równiutko pod girlandami kolorowych chorągiewek. Dalej były centra biurowe i gigantyczny supermarket.

W końcu zobaczyli miasto. Czteropasmówka przeszła w dwupasmówkę i w oddali ukazały się wyższe budynki. Ale autobus skręcił w lewo, w obwodnicę, i taktownie ominąwszy bogatsze dzielnice, wjechał na dworzec. Pierwszy przystanek dnia. Reacher nie wysiadł. Miał bilet do końca trasy.

Mężczyzna z kopertą wstał.

Kiwnął do siebie głową, podciągnął spodnie i poprawił kurtkę. Zrobił wszystko to, co robi starszy pan, zanim wysiądzie z autobusu.

Potem stanął w przejściu i nogą za nogą ruszył do wyjścia. Bez torby. Bez niczego. Siwe włosy, niebieska kurtka, jedna kieszeń wypchana, druga płaska.

Kozia Bródka miał już nowy plan.

Zdecydował nagle. Reacher niemal widział, jak pracują trybiki w jego głowie. Jak sypią pomysłami. Serią wniosków opartych na serii założeń. Dworców autobusowych nie buduje się w ładnej części miasta. Za drzwiami autobusu czekały zapuszczone ulice, zaplecza budynków, puste działki albo parking samoobsługowy. Ślepe zaułki i opustoszałe chodniki. Dwadzieścia kilka procent przeciwko siedemdziesięciu kilku. Cios z tyłu. Zwykły napad. Codzienna sprawa. Co w tym trudnego?

Mężczyzna z bródką zerwał się z miejsca i ruszył do wyjścia niecałe dwa metry za starszym panem z kopertą.

Reacher też wstał i poszedł za nimi.

2

Mężczyzna z kopertą wiedział, dokąd idzie. Bez dwóch zdań. Nie rozejrzał się, żeby sprawdzić, gdzie jest. Wyszedł z dworca i skręcił na wschód. Od razu, bez wahania. Ale i bez pośpiechu. Szedł ciężko i powoli. Trochę niepewnie. Z pochylonymi ramionami. Robił wrażenie starego, zmęczonego i sponiewieranego. Powłóczył nogami bez krzty entuzjazmu. Jakby miejsce, do którego zmierzał, było równie nieciekawe jak to, z którego wracał.

Kozia Bródka szedł mniej więcej sześć kroków za nim, ukradkiem, hamując się i powściągając. Miał z tym kłopoty. Bo wysoki, smukły i długonogi, kipiał podnieceniem i nerwowym wyczekiwaniem. Chciał od razu przejść do rzeczy. Sęk w tym, że teren był nieodpowiedni. Zbyt płaski i otwarty. Ze zbyt szerokimi chodnikami. A kilka kroków dalej na czerwonym świetle stały trzy samochody. Z trzema znudzonymi, rozglądającymi się leniwie kierowcami. Może także z pasażerami. Potencjalnymi świadkami. Nie, lepiej zaczekać.

Mężczyzna z kopertą przystanął na krawężniku. Czekał na zielone światło, chciał przejść na drugą stronę ulicy.

Celował w miejsce zabudowane starszymi domami i poprzecinane węższymi uliczkami. Szerszymi niż zaułek, lecz zacienionymi i z obu stron ściśniętymi przez dwu- i trzypiętrowe kamienice.

Lepszy teren.

Zmieniło się światło. Mężczyzna z kopertą ruszył przed siebie posłusznie i z rezygnacją. Ten z bródką też, wciąż sześć kroków za nim. Reacher skrócił dystans. Wyczuł, że to już zaraz. Że Kozia Bródka nie będzie czekał w nieskończoność. Lepsze jest wrogiem dobrego. Jeszcze tylko dwie przecznice.

Jakby nigdy nic, szli gęsiego w równych odstępach. Pierwszy kwartał wydawał się dobry z przodu i z boków, ale z tyłu był za bardzo otwarty, więc młody człowiek zwolnił i zaczekał, aż starszy pan przejdzie przez ulicę i znajdzie się w następnym. Bo następny, dobrze ocieniony na obu końcach, wyglądał bardzo obiecująco. Było tam tylko kilka sklepów z zabitymi witrynami, zamknięta restauracja i biuro rozliczeń podatkowych z zakurzonymi oknami.

Miejsce ideał.

Pora na ostateczną decyzję.

Założywszy, że facet zaatakuję tu i teraz i że tuż przed atakiem rozejrzy się nerwowo na wszystkie strony, Reacher przystanął za rogiem ulicy. Jedna sekunda, druga, trzecia – tyle wystarczy, żeby sprawdzić teren. Potem wyszedł i zobaczył, jak Kozia Bródka skraca dystans, jak podekscytowany gwałtownie przyspiesza i wydłuża krok, żeby dopaść ofiarę. Reacher nie lubił biegać, ale teraz musiał.

Dotarł na miejsce za późno. Napastnik zdążył już pchnąć mężczyznę, a kiedy ten upadł na ziemię z głuchym, nierównym stukotem – ręce, kolana, głowa – zręcznym, płynnym ruchem wsunął rękę do wciąż poruszającej się tylnej kieszeni i wyjął z niej kopertę. Właśnie wtedy nadbiegł

Reacher, prawie dwa metry wzrostu, góra mięśni i kości, sto trzysta kilogramów rozpędzonej masy przeciwko chuderlakowi, który zaczynał się już prostować. Lekko skrzył tułów, pochylił ramię, uderzył i gówniarz poszybował w powietrzu jak manekin do testów zderzeniowych, a sekundę później, w beładnej płataninie kończyn, połową ciała wylądował na chodniku, połową w rynsztoku. Upadł i znieruchomiał.

Reacher podszedł bliżej i zabrał mu kopertę. Była otwarta. Nigdy ich nie zaklejali. Zajrzał do środka. Plik banknotów miał ze dwa centymetry grubości. Studolarówka z jednej strony, studolarówka z drugiej. Szybko przejrzał pozostałe. Same setki, wszędzie. Tysiące dolarów. Co najmniej piętnaście. Może nawet dwadzieścia.

Zerknął przez ramię. Starszy mężczyzna podniósł głowę. Ogarnięty paniką, rozglądał się na wszystkie strony. Rozciął sobie twarz, padając. Albo krwawił z nosa. Reacher pokazał mu kopertę. Mężczyzna skupił na niej wzrok. Chciał wstać, lecz nie mógł.

Reacher podszedł do niego.

- Złamał pan coś?
- Co się stało?
- Może się pan poruszać?
- Chyba tak.
- Dobra, niech pan przekręci się na plecy.
- Tutaj?
- Na plecy – powtórzył Reacher. – Wtedy pana posadzę.
- Co się stało?
- Najpierw muszę pana obejrzeć. Może trzeba będzie wezwać karetkę. Ma pan telefon?
- Nie, nie, żadnej karetki – zaprotestował mężczyzna. – Żadnych lekarzy.

Nabrał powietrza, zacisnął zęby i zaczął wić się na ziemi i rzucać jak ktoś, komu śni się koszmarny sen. W końcu legł na plecach.

Wypuścił powietrze.

– Gdzie pana boli? – spytał Reacher.

– Wszędzie.

– Boli zwyczajnie czy gorzej?

– Chyba zwyczajnie.

– Dobra.

Wsunął dłoń pod plecy starszego pana – wysoko, między łopatki – podparł go, podciągnął, obrócił i uznawszy, że tak będzie mu wygodniej, posadził na krawężniku z nogami na jezdni.

– Moja mama ciągle powtarzała, żebym nie bawił się w rynsztoku – powiedział mężczyzna.

– Moja też – odrzekł Reacher. – Ale teraz się nie bawimy.

Podał mu kopertę. Mężczyzna ścisnął ją palcami i kciukiem, jakby wciąż nie wierzył, że ją ma. Reacher usiadł obok niego. Starszy pan zajrzał do środka.

– Co się stało? – powtórzył po raz trzeci. Wskazał ręką.
– On mnie napadł?

Kozia Bródka leżał na brzuchu po ich prawej stronie, sześć metrów dalej. Na razie ani drgnął.

– Wysiadł i szedł za panem od autobusu. Zauważył kopertę w kieszeni.

– Pan też ze mną jechał?

Reacher kiwnął głową.

– Szedłem za wami od dworca.

Starszy mężczyzna schował kopertę do kieszeni.

– Dziękuję panu z głębi serca. Jestem panu niezmiernie wdzięczny, brakuje mi słów...

– Nie ma za co.

- Uratował mi pan życie.
- Cała przyjemność po mojej stronie.
- Chciałbym to panu jakoś wynagrodzić...
- Nie trzeba.
- Ale nie mogę. – Mężczyzna dotknął kieszeni. – Muszę to komuś oddać. Wszystko. To bardzo ważne. Przykro mi. Przepraszam. Źle się z tym czuję.

- Niepotrzebnie.

Leżący sześć metrów dalej Kozia Bródka wstał na czworaki.

- Tylko żadnej policji – powtórzył starszy pan.

Chuderlak zerknął przez ramię. Był oszołomiony i osłabiony, ale miał sześć metrów przewagi. Dać nogę? Warto spróbować?

- Dlaczego? – spytał Reacher.
- Kiedy zobaczą tyle pieniędzy, zaczną zadawać pytania.
- A pan wolałby na nie nie odpowiadać?
- Nie mogę.

Kozia Bródka jednak spróbował. Chwiejnie wstał i uciekł, poobijany, oklapły i półprzytomny, mimo to całkiem szybki. Reacher nie puścił się w pościg. Miał dość biegania jak na jeden dzień.

- Muszę iść – powiedział starszy mężczyzna.

Miał otarte czoło i policzek, i krew na górnej wardze, z nosa, którym grzmotnął w ziemię.

- Na pewno nic panu nie jest?
- Oby nie. Mam mało czasu.
- Dobrze, więc niech pan wstanie.

Starszy pan nie mógł się podnieść. Albo zabrakło mu sił, albo miał słabe kolana, albo jedno i drugie. Trudno było powiedzieć. Reacher mu pomógł i mężczyzna, przygarbiony, prawie zgięty wpół, stanął w rynsztoku twarzą do drugiej

strony ulicy. Po chwili się odwrócił, powoli i z trudem, i zaczął przestępować w miejscu z nogi na nogę.

Nie mógł wejść na chodnik. Postawił stopę na krawężniku, lecz kolano nie wytrzymało siły potrzebnej do tego, żeby dźwignąć ciało na wysokość piętnastu centymetrów. Musiało go boleć. Miał na spodniach rozdarcie, dokładnie na wysokości rzepki.

Reacher stanął za nim, ujął go pod łokcie, podniósł i mężczyzna wszedł na chodnik, nieważki jak astronauta na Księżycu.

– Może pan chodzić?

Starszy pan spróbował. Małymi kroczkami, delikatnymi i starannie odmierzonymi, ale krzywił się przy tym z bólu i głośno posapywał, ilekroć opierał ciężar ciała na prawej nodze.

– Daleko pan idzie?

Rozejrzał się, badając teren. Upewniając się, gdzie jest.

– Jeszcze trzy skrzyżowania – odparł. – Po drugiej stronie ulicy.

– Mnóstwo krawężników – zauważył Reacher. – Ciągłe w górę i w dół.

– Jakoś to rozchodzę.

– Niech pan pokaże.

Mężczyzna ruszył na wschód, tak jak przedtem, powolutku, z nieco rozłożonymi ramionami, pewnie dla równowagi. Wciąż krzywił się i głośno sapał. Było coraz gorzej.

– Przydałaby się laska – powiedział Reacher.

– Tak jak wiele innych rzeczy.

Reacher zaszedł go od prawej i podparł ręką łokieć, przejmując część wagi jego ciała. Z mechanicznego punktu widzenia tak samo działają kule czy laska. Siła skierowana

do góry, przez rękę do ramienia. Zasady dynamiki Newtona.

– Niech pan spróbuje teraz.

– Nie może pan ze mną iść.

– Dlaczego?

– Już dość mi pan pomógł.

– Nie, nie dlatego. Gdyby tak było, powiedziałby pan, że nie może mnie o to prosić. Grzecznie i enigmatycznie. Ale pan był bardzo stanowczy. Dlaczego? Gdzie pan idzie?

– Nie mogę powiedzieć.

– Sam pan nie dojdzie.

Starszy człowiek nabrał powietrza, wypuścił je i poruszył ustami, jakby chciał przeciwyczyć jakąś kwestię. Podniósł rękę i dotknął zadrapanego czoła, potem policzka i nosa. Znów się skrzywił.

– Niech pan pomoże mi dojść do właściwego skrzyżowania i przejść na drugą stronę ulicy. Potem proszę wracać do domu. To największa przysługa, jaką może mi pan oddać. Naprawdę. Będę bardzo wdzięczny. Już jestem wdzięczny. Mam nadzieję, że pan rozumie.

– Nie, nie rozumiem – zaprzeczył Reacher.

– Nie wolno mi nikogo przyprowadzać.

– Kto panu zabronił?

– Nie mogę powiedzieć.

– Załóżmy, że i tak idę w tamtą stronę. Odprowadziłbym pana do drzwi i poszedł dalej.

– Wtedy dowiedziałby się pan, gdzie wszedłem.

– Wiem i bez tego.

– Skąd?

Reacher widział miasta wszelkiego rodzaju w całej Ameryce, na wschodzie, zachodzie, na północy i południu, miasta wszystkich wielkości, stare i nowsze, biedne i zamożniejsze. Znał ich rytm i gramatykę. Znał zapisaną w

cegłach historię. Kwartał, w którym się znalazł, był podobny do stu tysięcy innych na wschód od Missisipi. Zaplecza biur hurtowni towarów sypkich, sklepów prowadzących handel detaliczny, małych zakładów wytwórczych, kancelarii prawniczych, spedytatorów, pośredników kupna i sprzedaży nieruchomości i biur podróży. A w głębi podwórek – kilka czynszówek. Wszystko to dobrze prosperowało w zgiełku późnych lat dziewięćdziesiątych dwiętnastego wieku i na początku dwudziestego. A teraz się rozpadało, przeżarte rdzą i wydrażone przez czas. Stąd zabite deskami witryny i zamknięta restauracja. Ale niektóre przybytki utrzymywały się dłużej. A kilka z nich najdłużej. Pewne nawyki i upodobania są uparte.

– Po drugiej stronie ulicy, trzy przecznice na wschód stąd, jest bar – odparł. – Tam pan idzie.

Mężczyzna milczał.

– Żeby zwrócić dług – ciągnął Reacher. – W barze, przed lunchem, a więc miejscowemu lichwiarzowi. Tak myślę. Piętnaście, dwadzieścia tysięcy dolarów. Ma pan kłopoty. Sprzedał pan samochód. Za miastem dostał pan wyższą cenę. Może kupił go jakiś kolekcjoner. Chyba nie lubi pan zmian, więc wóz musiał być stary. Pojechał pan tam i wrócił autobusem. Zahaczając o bank. Kasjer włożył pieniądze do koperty.

– Kim pan jest?

– Bar to miejsce publiczne. Czasem chce mi się pić, tak jak każdemu. Może mają tam kawę. Usiądę przy innym stoliku. A pan będzie udawał, że się nie znamy. Ktoś musi pomóc panu wyjść. Kolano trochę zesztywnieje.

– Kim pan jest? – powtórzył mężczyzna.

– Nazywam się Jack Reacher. Służyłem w żandarmerii wojskowej. Przeszkolono mnie w policyjnej robocie.

– To był chevrolet caprice. Klasyk. Oryginalne części, znakomity stan. Bardzo mały przebieg.

– Nie znam się na samochodach.

– Stare chevrolety znów się podobają.

– Ile pan za niego dostał?

– Dwadzieścia dwa pięćset.

Reacher kiwnął głową. Sporo, więcej, niż myślał. W nowiutkich banknotach, szeleszczących i ciasno spakowanych.

– I wszystko musi pan zwrócić?

– Do dwunastej. Potem dług wzrośnie.

– Więc lepiej chodźmy. To będzie powolny marsz.

– Dziękuję. Nazywam się Aaron Shevick. Będę panu dozgonnie wdzięczny.

– Uprzejmość obcych sobie ludzi porusza góry. Ktoś napisał o tym sztukę.

– Tennessee Williams – powiedział Shevick. – *Tramwaj zwany pożądaniem*.

– Który bardzo by się teraz przydał. Trzy kwartały za pięć centów to dobry interes.

Ruszyli, Reacher krótkimi, powolnymi krokami, Shevick – kuśtykając, chwiejąc się i zataczając, cały czas mocno przekrzywiony na bok, zgodnie z zasadami dynamiki Newtona.